

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDLA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 14 LISTOPADA 1915

NR. 16.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



W ziemi chełmskiej.

Fot. T. Langier.

KUŹNICE POLSKIEJ KULTURY.

Dnia 15-go listopada nastąpić ma otwarcie dwu nowych najwyższych uczelni na ziemiach polskich: uniwersytetu i politechniki warszawskiej. W czasach, kiedy wszystko ma charakter tymczasowości i kiedy większość zakłada ręce, by tymczasowość i nieokreśloność tę jakoś przeczekać, Warszawa nie zapomniała, że są dobra narodowe, które przedewszystkiem zorganizowane powrotnie i oddane do publicznego użytku być powinny. W czasach, gdy akcja publiczna wielu gorliwych zresztą ludzi ogranicza się do myślenia o zaspokojeniu braku chleba i dachu nad głową u setek tysięcy naszych rodaków, Warszawa dała przykład chwalebny, że obok tego wszystkiego myśleć należy jednocześnie i o sprawach, które pozornie wydają się odleglejsze od doraźnych potrzeb społeczeństwa, dotkniętego wojną, lecz które wmurowane być winny w podwaliny przyszłości. Myśl, ogarniająca przyszłość, od nich zawsze wychodzić musi.

Wzruszającą jest ta piękna tęsknota do polskiej nauki, którą się w Warszawie zawsze widziało. Pozbawiona jednocześnie z usunięciem resztek znamion państwowości polskiej swojego uniwersytetu, obdarzona następnie uniwersytetem rosyjskim, który miał „na kresach” zasiewać rosyjską kulturę, Warszawa zawsze miała ludzi, podtrzymujących znicz polskiej nauki choćby za cenę najwyższych osobistych wyrzeczeń, utrzymujących czyto tradycję dawnej nauki polskiej w Warszawie, czy też młodych już, kształconych na uniwersytetach polskich w Galicyi lub dopełniających studyów zagranicą, którzy na grunt warszawski przeszczeplali usilowali zdobywcze nowoczesnej naukowej myśli. Warszawa, pozbawiona możności utrzymywania nauki polskiej w żywym słowie, starała się stworzyć jej surogat w postaci ogromnej ilości podręczników naukowych dla wyższych studyów, które przyswajano polskiej nauce. Ruch wydawniczy warszawski na tem polu i pracowitość, jaką tam okazywano, zasługiwała zawsze na podziw.

Jest na dnie wszystkich tych usiłowań, uwiecznionych obecnie tak pięknym sukcesem, poczucie niezmierniej wagi, jaką naród przywiązywać musi do rozwoju własnej swojej odrębnej kultury. Imperyalista niemiecki w wielkim stylu Paweł Rohrbach, napisał specjalną książkę: „Der deutsche Gedanke der Welt”, której założeniem jest, że postęp ludzkości odbywa się tylko przez współdziałanie poszczególnych narodów, z których każdy dokłada coś z wytwórczości własnej narodowej myśli do ogólnego skarbcza ludzkości. Rola dziejowa, jaką naród każdy w historii ludzkości odegra, mierzy się tym właśnie wkładem, który ze siebie samego dla ogólnego dorobku ludzkości czyni. Wszystkie inne narody, które nie potrafią się zdobyć na swoją odrębność kulturalną i nie zdołają jej wobec innych narodów utrzymać, prędzej czy później skazane są na to, że staną się jeno substratem, na którym inna obca potęga narodowa wyrośnie. Narody, które z jakichkolwiek powodów niezdolne są do zapewnienia odrębności swej narodowej miejsca w rzędzie innych narodów, skazane są na przyswojenie sobie wyników cudzej pracy duchowej a temsamem na zasymilowanie się do cudzych silnych narodowych organizmów.

Znać dokładnie teorię idealistyczną naszego Zygmunta Krasińskiego z „Traktatu o Trójcy” czy ze wstępu do „Przedświtu”, zmartwychwstała w tym wy-

wodzie niemieckiego imperyalisty. Niech nikt wszakże nie sądzi, że i dziś o mrzonki idealistyczne tylko tu chodzi. Dziś wiemy, jak najdokładniej, że kultura narodowa jest zupełnie realną narodową siłą, z którą się liczyć należy całkiem poważnie, gdy się oblicza szanse danego narodu do utrzymania się w walce o byt taksamo, jak się w rachubę bierze liczbę ludności jego i przyrost liczebny, właściwości naturalne terytorium, które zamieszkiwa i płody przyrodzone, jakich ziemia dostarcza. Kultura narodowa jest tem, co spaja w jednolity organizm materiał ludzki i co mu nadaje pewne oczywiste dążności, sposoby patrzenia na życie i oceniania życiowych wartości. Kultura narodowa stanowi więc, nadającą wartości motoryczne jednostkom ludzkim i łączącą do wspólnych celów.

W wojnie obecnie się toczącej jak najdobitniej przejawiało się, że w walce o byt, o zwycięstwo rozstrzyga ta ilość kultury, która rozprzestrzeniona została wśród społeczeństwa i stała się ogólną własnością. Nie szczyty, na które wdrzeć się potrafi jakaś poszczególna odosobniona jednostka, stanowią o kulturze narodu, lecz ta właśnie masa, na którą się dary kultury rozlewa z góry. Jest to sprawa, którą się zwykło było przedstawiać zazwyczaj jako zagadnienie romantycznej i organicznej kultury. Jednostka, której psychika, sposób myślenia i wartościowania niezrozumiałe są wobec psychiki ogółu, jest upiorem, żyjącym nocą i sycącym się krwią organizmów obcych, zmuszonym odwracać oczy od dziennego światła. To jest psychika oderwana od realnego współczesnego życia, psychika schorzała. Zdrowie moralne odzyska ona dopiero przez zetknięcie z temi żywymi wytwórczymi siłami, które naród stanowią istotnie.

W tem leży właśnie znaczenie społeczne udostępniania jak najszerszym masom szczytów wiedzy i myśli, wytwarzanej w narodzie. Każda uczelnia jest ogniwem tylko w tej rozległej sieci, jaka objąć ma społeczeństwo całe, docierając do najniższych jego podstaw i której przeznaczeniem jest przewodzenie światła narodowej myśli od szczytów do podstaw narodu i drogą powrotną, dla zachowania zdrowia tej myśli. Każda nowa wyższa uczelnia, która narodowi przybywa, jest przysporzeniem nowego wielkiego warsztatu pracy, na którym wytwarzają się warunki zwycięstwa narodu i ostanienia się wobec obcych. Naszym interesem jest właśnie, ażeby ilość warsztatów tych jak najbardziej pomnożyć. Wyższe uczelnie warszawskie, które zdobywamy w chwili obecnej, są zaspokojeniem ledwie najpilniejszej potrzeby, która istniała od wieku całego, a której nie uwzględniano tylko skutkiem politycznego ucisku. Nie może to wszakże stanowić kresu na przyszłość w trosce o pomnażanie ognisk, w których praca duchowa narodu doznaje wyklarowań najwyższych.

Jest rzeczą jasną, że na wielką liczbę wyższych uczelni zdobyć się może tylko naród bogaty. Tylko bogate społeczeństwo zapewnić może swobodę pracy i utrzymania się wielkiej liczbie uczonych i pisarzy. Nie trzeba zapominać wszakże, że i odwrotnie, wytwórczość umysłowa pomnaża bogactwo czysto gospodarcze narodu. W walce dzisiejszej o byt, w której rozstrzygającymi są czysto gospodarcze czynniki, pomaga do zwycięstwa wobec współzawodnictwa obcych umiejętność chyżej orientacji myślowej, zdolność szybkiej i rozległej organizacyi, wprawa w przyswajaniu sobie wszystkich

zdobyczy naukowych i technicznych, które upraszczają pracę, czynią ją tańszą lub trwalszą. Wszystkie te czynniki zależą w pierwszej mierze od ilości ogólnej kultury umysłowej, która w społeczeństwie danem jest rozpostarta. Rozkwit gospodarczy i handlowy, w ślad za nim zaś potęga polityczna Niemiec, spowodowana została właśnie tym bujnym rozrostem niemieckiej nauki, abstrakcyjnej na pozór, która w rzeczy samej torowała drogę do zwycięstwa niemieckiemu technikowi i fabrykantowi i która kupcowi niemieckiemu umożliwiła wydarce rynków zbytu staremu i od wieków zagospodarowanemu angielskiemu przemysłowi. Ilość pracy duchowej, wyprodukowanej w narodzie, jest dzisiaj najrealniejszym czynnikiem gospodarczym i politycznym i każdy naród, który ma dalekie przed sobą cele, o umocnienie tych fundamentów narodu przedewszystkiem dbać powinien.

Oto dlaczego szczególną radością przejmuję nas fakt, że Warszawa, gdy tylko wypadki dziejowe pozwoliły jej na czynny, zdobyła się przedewszystkiem na czyn, zmierzający do ugruntowania narodowej wytwórczości duchowej. To są rzeczy pierwsze, na których inne, dalsze, ostateczne rzeczy oprzeć się powinny i na których niezawodnie się wesprą.

Tadeusz Dąbrowski.



TADEUSZ SZANTROCH: O TOBIE, POLSKO...

O Tobie nasi śnią żołnierze
nad Wisłą, Dniestrem, czy u Bugu,
czy gdzie im wojna ściele leże,
by się išcili z ojców długu.

Ty maro święta niezaparcie,
nadzieją wierze przekazana,
...widzi Cię żołnierz-chłop na warcie,
jak wstajesz w słońcu ze mgieł rana.

Nad okopami chadzasz biała,
idąca dymów krętą ścieżą
i chociaż widmem Tyś bez ciała,
w Twe życie wszyscy twardo wierzą.

Ty w bitew zgietku, armat ryku
i najgorętszych szturmów wrzawie
przy każdym stajesz nieboszczyku,
by oddać imię jego stawie.

I z łun, którymi świat dziś płonie,
wzrok nasz po niebie wielkiem czyta
Twój herb, o Polsko, co w koronie
pożarów — — nad zgliszczami świta.



PIEŚŃ LEGIONÓW.

*Plomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało!* (A. Mickiewicz,

„Pieśń Legionów“, kiedy ją bezimiennie w świat puszczał jej twórca, autor „Oblężenia Trembowli“, „Sarmatki“ i i., były posel na sejm czteroletni, senator wojewoda Józef Wybicki, pierwszą stawała się polskiego żołnierza piastunką, pierwszą jego pocieszycielką wśród trudów i niewygód wojny, pierwszą też była w szeregu poezyi, jakie wydały Legiony, epopeja napoleońska, powstanie listopadowe, rok 1863 i wreszcie ostatnia i najmłodsza pieśń. Zapoczątkowała ona doskonale i najgodniej twórczość i literaturę wojenną Polski bezpańskiej i przeszła przez nią tryumfalnym pochodem, znacząc swe ślady we wszystkich najważniejszych dziejowych momentach. Przerabiano ją, trawestowano, jest kilkanaście jej redakcyi, bo każde pokolenie wносиło do niej skarby swe serdeczne i składało w niej uczuć swoich kwiaty. Zjawiała się nam dziś wreszcie jako ostatnia:

I tak, jak ongiś, sto lat temu z górą, tak obecnie odcho-
dzące na pole walk zastępy łaknęły pieśni, jakaby marsz skracała, krzepiła, upust dawała krwi gorącej serca. Zwrócono się więc z poszukiwaniem tych walorów do dawniejszej poezyi. „Pieśń Legionów“ naturalnie naczelne i dominujące zajęła miejsce, obok niej znalazły się znane z 1831 r. i późniejsze. Przypominano sobie śpiewkę: „Tam na bloniu błyszczą kwiecie“ i z lubością powtarzają ją młodzi żołnierzykowie, nie pomnąc, a może nawet nie wiedząc, że już dziadowie ich w powstaniu listopadowym dziełem Kowalskiego się zachwycali, a muzykę, którą nucił, ułożył Chopin. Ożył „Marsz Sokółów“, „Hymn“ z r. 1863 i wiele innych. Ale to, jakkolwiek na początek było dobre, jakkolwiek jest szacowną pamiątką — poczęło niebawem już nie wystarczać. Dorywczo dokonano zmiany starych tekstów, dostosowywano je do chwili bieżącej, lecz i to jeszcze nie zadowalało. Tu i tam znalazł się ktoś samodzielniejszy i na podstawie dawnej śpiewki komponował nową. I tak zwolna, niepostrzeżenie nadchodziły narodziny świeżej pieśni żołnierskiej. Jeszcze na pograniczu starej a dzisiejszej poezyi wojennej stanęła „śpiewka oddziału Bełły“ i „Pożegnanie“, które zrazu napisane przez przygodnego poetę dla „lwowskich dzieci“ (30 p. p.) zmieniło się następnie w piosnkę Strzelców i Legionistów.

Te, już na pół oryginalne poezye, miały iść w zawody ze znanymi i uznanymi, a obok swawolnych i studentekich śpiewanek („Gaudemus igitur“, „Wojenka“, „O rozmarynie“, „Maciek generałem“, „Książd mi zakazował“) wypełniały repertuar „chórów“ wojskowych.

Lecz wkrótce już nową te chóry naukę zacząć musiały. Gdzieś bowiem przy ognisku obozowem, na pnio ściętego dęba, w poszumie lasu, a przy akompaniamencie pógwarów rozbawionej kompanii, mozolnie klejona strofka za strofką, powstała całkiem dotychczas nieznaną, a tak trafna pieśń o własnym pułku, o ludziach i rzeczach, na które patrzą wszyscy codziennie. Czasem trywialna i rubaszna, pełna przesady realistycznej, niekiedy tęskliwa i smutna, zawsze bez względu na to, ja-

ką jest, szybko przez gromadę przyjęta i śpiewana aż do znudzenia. Nie spisywana, przechowująca tylko w tradycyi ustnej autora swego, z oddziału przechodzi do oddziału, u jednych śmiechem witana, u innych zbyt ostrą krytyką, wszędzie atoli do praw obywatelskich przypuszczona — istnieje ta śpiewka, co ją serce żołnierza wykołysało, miłością utuliło jedyną, bo miłowania innego wśród pól nie masz — choć rozumem nigdy nie badana, ani nie mierzona artystyczną miarą. Bo i po cóż?

„Człek mądry był jak rabin
Na szczyt się wiedzy piał
Do ręki wziął karabin
A mądrość dyabeł wziął..

Podobnie jak z mądrością, stało się ze wszystkim. Ludzie, którzy dawniej szukali w literaturze głębokich zagadnień, najprostsze przyjmują teraz z tej pieśni. Znikła filozofia miłości i miłość filozofii, delikatność i prze-
rafinowanie ustąpiło miejsca hartowi dusz i prostocie. Na wszystko bowiem lekarstwo jest w żołnierce:

„Kiedy cię serce boli,
lub duszę kryje mrok,
Zbędiesz się melancholii
Ćwiczebny robiąc krok“.

A gdzieś do tego zabłąka się refren innej śpiewki:

„Bo my żołnierze są jak psy,
bezdumni my włóczędzy...
Gnębí nas Moskal, gryzą wszy...“

Lecz „jakby na złość“, dla stłumienia tej smutnej prawdy, nawija się strofa mocna drugiego utworu:

„Siłą ducha, siłą ciała
Bijcie Legioniści,
A niedługo Polska cała
Z wroga się oczyści...“

Jej dopełnieniem zdrowem, jędrnem, przynoszącem z sobą wiew świeży gór i coś z siły Napierskiego lub uporu Janosika, jest pieśń batalionu podhalańskiego.

„Idziemy se dołu
Hej dołu ku dolinie,
Kaźda nasza kulka
Wraha nie ominie.

Prostuj se głowicę
Ej Jędrus bassam tobie,
Bo hań po dziedzinach
Idzie hyr o Tobie.

Idziemy se bore
Ej tą wysoką percią,
Wrahowi z nienacka
Zjawimy się śmiercią.

Nieście se głowicki
Ej prościutko dumnie,
Coby powiedzieli:
„Haj — jak sie niosą siumnie“.

„Niosą się szumnie“ nie tylko oni, ci podhalańscy chłopcy, ale wszyscy, których mundur legionisty zdobi. I jeden rywalizuje z drugim w męstwie i sławie, a od tego nieodłączne pieśni rywalizują także ze sobą. Już nie tylko poszczególne brygady mają swoje specyalne śpiewki, ale bataliony, oddziały, szeregi, zastępy nawet. Nie zliczyć ich wszystkich, choć z tych i owych cytujemy tu wyjątki, nie zebrać ich w jedną książkę, bo jest ich tomów kilka. Zresztą czy wszystkie dojdą do tego, by żyły w długie lata? Nie jedna zrodzi się i zanim jej autor poda ją dalej, usta mu zamyka zimnym pocałunkiem śmierć kosiarka. Inna znów, co się „trzymała“ między „dyrygentami“ lub „solistami“ niknie, bo ci odeszli z pola i ją, jakby własność z sobą zabrali. A jeszcze inna w treści swej, formie i przymilności przez nową została zwyciężona i zwolna zapomniana nie wraca już do codziennych popisów. Ale niektóre specjalną sympatją się cieszą, jak np. „Piosnka pierwszej brygady na odmarsz z okolicy Kęt“. Bo też i ma coś w sobie żołnierskiego, coś, co jakby uruchomić zdołało

kolumny i do marszu je pchnąć o żywym tempie i miarowym ruchu:

„Wstał świt promienny, szczęśny i nowy,
Zerwał okowy srebrnopióry ptak
Płyn — płyn — Białe orle mój,
Raz — dwa — trzy —
Strzelcy idą w bój.

— — — — —
Zbratani w karnym, zbrojnym szeregu,
Jak rzeka w biegu zniszczym nędzę, zło —
Żyj — żyj — polski ludu ty,
Raz — dwa — trzy!

Do popularności tej ma niezaprzeczone prawo majestatyczna w swym rytmie, pełna powagi „Pieśń Legionów polskich“, powstała już znacznie później, bo prawie po roku wojny, w lipcu 1915. Choć taki sam tytuł nosi, jak dzieło Wybickiego, jednak przecie od tamtego niżej stoi. Może dlatego, że świetne przed sobą miała wzory, a może i to jest powodem, że zbyt w niej wiele reminiscencji, zbyt wiele nastroju i techniki w wydobywaniu go, takich samych, jakich poprzednio niejednokrotnie w poczyty patryotycznej używano. Mimo to utwór ten jest jednym z najlepszych, jakie powstały obecnie wśród okopów Legionowych. Szczerem i prostem słowy mówi to, co serce czuje, mówi za dzisiejsze i przeszłe pokolenia:

„My zerwiemy niewoli okowy,
Wrogich rządów zetrzemy tu ślad!
Niesiem Polsce dziś sobą dzień nowy,
Niesiem Polsce dziś wolność i ład.
Od Gewontu aż po Wilna mury
Niechaj płynie nasz zwyciężki śpiew!
Niechaj bije tryumfem nad chmury,
Niechaj wrogi usłyszą nasz zew —
Nasz zew — nasz zew,
Wolność i śpiew.“

I dalej wzywa poeta wszystkich, by stanęli jak mąż jeden do szeregów, bo w tak ważnej chwili dziejowej każdy „ponad życie niech ceni dziś zgon“. Nie nam teraz pieszczota kochanki, ani spokojne życie, kiedy „nadszedł dzień krwawej odpłaty“. Ktokolwiek żyw, niech „dłonie wyteży do pracy“ i „w walce złoży i mienie i krew“. Myśl prawdziwie obywatelska i żołnierska, zapal wielki i słuszną sprawą nadają utworowi temu znaczenie w momencie przełomowym, a noszącym ogromny zaród następstw na przyszłość.

Niekiedy z ogólnego tonu schodzi śpiewka na szczególne, zacieśnia się do ram otoczenia, niekiedy staje się czysto osobistą (ob. zbiorek hektografowany W. Biernackiego). Czasem jest tak przypadkiem uklecona, jakby się same słowa dobrały, dla własnej rytmiki jedynie. Oto i próbka piosenki V. batalionu, co był pod Rafajłową.

„A na przedzie baon Roji,
co niczego się nie boi...
My w Galileji... leji Mochów rżnęli
i bijemy wciąż!..

Takich wierszyków jest tyle, ilu dowcipnisiów w kompanii. Prześcigają się między sobą i tak powstaje później Księga humoru wojennego. Zanotowano już epigramy na różne gatunki broni, nie tyle do śmiechu pobudzające, ani też komiczne, co ciekawe dla charakterystyki tego rodzaju twórczości. Dowcip najczęściej polega na rubasznosci, humorystyka na najrubaszniejszym ośmieszaniu. Inwencji wogóle mało. Najlepszy jest epigram na artylerję:

„Jedzie, jedzie artylerya, jedzie tu i tam,
Kof się potknął, sierżant uciekł, Brzoza został sam.
Działo długie ośm cali, możesz zmierzyć sam.
Dymem straszy nam Moskali w bitwie tu i tam.
Moskał kule w kieszeń łapie, taki głupi cham;
Brzoza się z frasunku drapie, do bani cały kram.

Ale nieodłączną towarzyszką żołnierza w polu jest śmierć. Zagląda mu ona w oczy w czasie snu, pochyla się nad ogniskiem, wokół którego zasiada kilkunastu zmęczonych szeregowców, idzie niby widmo na zwiady i placówki i spada syczącym szrapnelem, czy też warczącym granatem, przechadza się wzdłuż rowów strzeleckich. Z zewsząd wraca nie sama, zewsząd unosi swój łup, wiejąc czarną chustą żaloby. Zna ją żołnierze i nie dziwią się jej odwiedzinom, ani ona nie jest im tak tajemniczą i straszną, jak innym. Mało kiedy łąza spływa im z powiek, gdy nawiedzi ta dostojna pani dom serca towarzysza. Dziś on — jutro oni sami. I tylko poeta znów daje wyraz tłumionym uczuciom. Jej karty nie zapisane ani w książkach, ani w pamięci drużyny, ale rozrzucone po krzyżach, co tkwią na mogiłach, znaczących pochód kolumny. Nie szuka ta poezja wytłomaczenia bytu, nie kwili, ani nie żali się. Nawet i tu, wobec majestatu śmierci jest spokojna, ma swoją godność... żołnierską:

„...Przechodniu,
Zagadki życia nie szukaj,
Ona przed oczami:
Jak ty byłem wczoraj,
Dziś przepaść między nami.

Zatraca się nawet osobowość. Nie poświęcają te in-skrypcy czasem ani jednego słowa poległemu, wypisując na grobie niby godło, w imię którego walczył i padł:

„Długo spała Polska święta,
Długo orzeł biały spał,
Lecz się ocknął i spał,
Że on niegdyś wolność miał“.

I tu, na tych epitafiach kończy się twórczość poety-żołnierza. Od radosnej pieśni, z jaką każdy rzucał dom i siedł w szeregi i kadry wojskowe, przez śpiewki do marszu, których tło było tak rozmaite jak wszechstronne jest życie, przez patryotyczną poezję, co podnosiła nastrój ducha, kształciła pojęcie obowiązku i powinności dla Ojczyzny, przez humor beztroski i wesołość niefrasobliwą, aż do tej smutnej, co jest przysługą winną towarzyszowi — wiedzy jej droga. Cała ta twórczość bez aspiracji wielkich i dążeń literackich, poczęta w chwilach zadumy i tęsknoty, to znów w momentach, które do serca jaśniejsze wprowadziły błyski, mające w chwili narodzin swoich różne otoczenie i środowisko, jest też odbiciem całego wojennego bytu. Analiza wykazuje, że te poszczególne tony, co się złożyły na prostą śpiewkę żołnierza, to jakby gama wszystkich uczuć, które władną człowiekiem. Że nie ugrupowane one, że nie zespala się w harmonijną całość, że akordy nie chromatycznie, ale fałszywe nawet — o to nie winić wojownika-poetę. Chwila zrodziła w nim śpiewaka i twórcę zarazem słów melodyi. Śpiewał dla siebie i sobie i skrzypki tak stroił, jak mu na to pozwalało serce. A serce żołnierskie to lutnia przedziwna. Raz z niej wydobędziesz niemal siłę gromu, innym znów razem tklliwość prawdziwie dziecięcą. Te dwa zasadnicze pierwiastki: siła i sentyment, aczkolwiek winny się właściwie wykluczać — istnieją w poezji wojsk i stanowią prawie że ramy dla całości. W nich mieści się wszystko. Niezłomność, dzielność, twarda służba i los ciężki, ufność w zwycięstwo i wyższość nad wrogiem. A obok tego wspomnienia przeszłości, minione szczęście, miłość kochanki, czary Erosa, wdzięk życia, radość, swoboda, wesele, żal, smutek... nieplakana trumna.

I w tem jest właśnie urok i piękno bezimiennych pieśni żołnierza.

Stanisław Lam.



Na pozycyi.

Fot. Warchollik.

NE MO: Z DNI GROZY.

(Epizod z ofensywy na Stryj w październiku 1914 r.)

Dnia 18. października roku 1914 doświadczyło miasto Stryj co to jest prawdziwa bitwa i zaiste wysoką byłoby niesprawiedliwością powiedzieć o jego cywilnej ludności, że nie wie, co służba na froncie pod gradem kul. Już od pierwszych dni października słyszeliśmy ciągle huk dział. Nie byliśmy wówczas jeszcze wyczerpani nerwowo, nie mieliśmy dużo fantazyi, gdyż „opieka” rosyjska trwała zaledwie kilka tygodni, liczyliśmy jeszcze na palcach czas niewoli, a sami najeźdźcy uważali się raczej za gości jak gospodarzy. Nie mogli ukryć zdziwienia, że im poszło tak gładko. Rabowano, oczywiście co pod rękę wpadło, muzyki grały, damy z wesołego światka szwendały się po ulicach, lub przemykały w automobilach, tu i ówdzie ktoś został „abruszczony”, tu i ówdzie posypały się nahaje, zawsze jednak wszystko miało charakter tymczasowy, doraźny. Były to raczej dusery powitalne, jak surowa dyscyplina kazionnego wychowania obywatelskiego. Armaty grały memento, ciągle, niezmordowanie, raz bliżej, raz dalej, czuliśmy swoich niedaleko, w Karpatach, może nawet bliżej... nikt nie wiedział gdzie; byłoby więc niemal wesoło. Przytem mieliśmy burmistrza co się zowie. Gdy oficjalna głowa miasta zanurzyła się w otchłanie niebytu, powstał jak Afrodyta z piany morskiej człowiek opatrnościowy i wziął wszystko mocno w garść. Nie

wiem ile razy dziennie przelatywał w powozie z końca miasta w drugi koniec, a widok jego i człapiącego za nim, dobranego dla utrzymania prestige'u wobec władz rosyjskich, kozaka, rozweselał nam serca. Koniec końcem nieźle nam się działo. Jeszcze było co jeść, nasza „głowa” targowała się z Moskalami o każdy wywieziony z miasta worek cukru, mąki etc., stawiała „okoniem” gdzie trzeba było, przeto my, zwyczajni obywatele, mogliśmy nasze głowy względnie bezpiecznie lokować na sen o ile komuś nie skradziono właśnie poduszki dnia poprzedniego. Bo kradziono z zamięłowaniem i wysokiem znawstwem. Poszkodowany milczał, powinien był milczeć. Tak uznały władze, i skazywały w myśl tej zasady każdego uskarżającego się na ...karę za oszczerstwo. Taki pan brał lanie, o ile nie nawinął się przypadkiem burmistrz i nie wyprosił biedaka, tłumacząc, że mieszkańcy miasta nie mieli jeszcze czasu zapoznać się z logiką ruską, ani też z pryncypiami państwowymi oswobodzicieli z pod „jarzma austriackiego”. Taki był stan rzeczy, gdy dnia pewnego Moskale zaczęli na gwałt związać szpitale. Potem spakowano piekarnie. Następnie znikło kilkanaście najmodniejszych dziewcz. Dobra nasza, pomyśleliśmy sobie. I zaczęliśmy kalkulować, z której strony nasi nadejść mogą najprędzej. Ponieważ o rzeczywistym stanie rzeczy nie mieliśmy najłżejszego pojęcia, zaś gazety wychodzące we Lwowie za-

pewniały, że „niedobitki armii“ siedzą gdzieś głęboko na Węgrzech, przeto oczekiwaliśmy pomocy od strony południowej, od strony, z której dochodził huk armat. Moskale ponaprawiali prowizorycznie kilka mostów, poreperowali lokomotywy, pozostawione na dworcu i wysyłali ciągle oddziały wojska w kierunku Synowódzka. Ktoś przyniósł wiadomość o schwytaniu generała rosyjskiego przez strzelców ukraińskich w Borysławiu, oraz wzięciu do niewoli przez nich wysokiego jakiegoś urzędnika w chwili właśnie, kiedy nakładał kontrybucję na miasto Borysław. Dalej zapewniano, że z trzech sotni kozaków, którzy niedawno przeszli przez miasto w południowym kierunku i dobrze nam się dali we znaki, pozostało tylko 15 ludzi, bez koni i tak zwątpiałych, że nie śmieli pokazać się na ulicy, ale okrążywszy miasto szli polami, pytając, kędy najbliżej do Rosyi. Wszystko to napelniało nas otuchą, a zacny nasz kanonik, opiekun w chwilach ciężkich, których tyle było później przez ciąg całych dziewięciu miesięcy okupacyi — powtarzał ustawicznie: Jest doskonale, przeto obawiam się, by nie było bardzo źle! Oczywiście, myślał co się stanie z miastem, zanim zostanie oczyszczone z nieprzyjaciela. Jeden z pozostałych radnych miejskich, który nas „oświeciał“ kierując w sposób iście cudowny gazownią, która nigdy nie miała materiałów, a ciągle produkowała gaz, kręcił się po mieście i powtarzał: „Panie... kręca się strasznie... mówię panu, kręca się jak w ukropie!“ I kręcił się dalej, dla tem lepszego obserwowania owego kręcenia. Wprawdzie przy tej sposobności ktoś mu wykręcił z kieszeni gruby pular, ale radość nie pozwalała mu długo trapić się tą niemiłą formą kręcenia. I kręcili się istotnie. Instynktem czuliśmy, że idzie ofensywa, że idzie silnie, konsekwentnie, z planem i bodaj, że odcięto już niemal wszystkie drogi odwrotu. Bo czemuże wytłumaczyć sobie n. p. było fakt, że codziennie, albo i dwa razy dnia kilkadziesiąt automobilów wywoziło sztab, mieszczący się przy ulicy pryncypalnej, kędyś w kierunku północnym, zaś w kilka godzin, panowie ci w humorach jaknajgorszych wracali z powrotem i zapelniali restauracye, jedząc w płaszczach, nie siadając prawie, nie rozpakowując rzeczy porzucanych na podłogi kwater doraźnie obranych. Im bliżej było ku połowie miesiąca, tem bardziej nerwowo zachowywał się sztab i doszło do tego, że panowie ci tylko w porze obiadowej zjawiali się w mieście, resztę czasu spędzając niewiadomo gdzie.... w jakiejś ustronnej miejscowości wiejskiej. W sobotę, dnia 17. października rozpoczął się już niemaskowany odwrót wojska. Od strony Skolego, Bolechowa, Drohobycza przybywali kozacy, działa, piechota, treny. Długie kolumny pochodowe zapchały ulice, zrobiło się ciasno, a wesoło razem. Idący nie zatrzymywali się ani na chwilę. Oficerowie zakurzeni, zmęczeni siedzieli po kilku w maleńkich, ledwo ich pomieścić mogących kałamaszkach. Biegły bokiem ulicy psy, szły luźne konie, trąkotały rozmaite przybory powrzucone na wozy, gdzieś tam zaskrawił się kapelusz damski. Żołnierze mieli miny posępne, znudzone czy zdesperowane, konie powłóczyły nogami i przystawały co chwila, snadź długą drogą zmęczone. Nie było słyhać zwyczajnych śpiewów ni gwizdów przeraźliwych na palcach, jakich nasłuchaliśmy się pod dostatkiem. Słowem, w oczach naszych dokonywała się przeprowadzka zupełna i jak się nam wydawało, ostateczna. Najbardziej uradował nas widok kozaków, którzy prowadzili po kilka, nieraz do pięciu nawet luźnych koni posiadanych, lub dźwigali na ramionach po kilka karabinów, żal brał tylko, gdy się wi-

działo konie pokaleczone, splecione, kulejące, podpieraające się z trudem okręconą szmatami nogą. Przeszło w ten sposób blisko 16.000 ludzi, oraz przesunęło się 36 armat polowych, kilka karabinów maszynowych i sześć krótkich kartaczoń. Patrzyliśmy ukrywając się potrochu, gdyż doświadczenie pouczyło, że tacy panowie zdolni są na pożegnanie palnąć w to czy tamto okno, w ten czy inny kapelusz, patrzyliśmy tedy i słuchali basowego pomruku armat. Naraz, wszyscy spostrzegli, że oddziały, które już raz przeszły, idą znowu w tę samą stronę. Inne poczęły płynąć znowu drugą ulicą w kierunku przeciwnym. Wieści, jakie przynieśli uradowani żydkowie, mówiły, że pomiędzy Niezuchowem, na trakcie drohobyckim, a Dobrowlanami, na lwowskim trakcie, ciągle widać spacerujących tam i napowrót tychsamych ludzi i tesame działa. Gubiliśmy się w domysłach czy to oznacza jakiś fortel, dla zmylenia naszych i niedopuszczenia obliczenia ilości, cofających się wojsk, czy też świadczy niezaprzeczenie o ostatecznem osaczeniu armii najeźdźczej. Trwało to do nocy, a rano dnia 18. dowiedzieliśmy się od czuwających, że przez całą noc w tensam sposób, tam i z powrotem jeździły setkami podwozy. Jednocześnie przycichły działa nasze. Widocznie chciano oszczędzić miasto w możliwie największej mierze. Huk armat zastąpił teraz cichy jeszcze, ale już wyraźny trząsk karabinów maszynowych. Dnia 18. października wiedzieliśmy już, że nasi siedzą doskonale ukryci w lesie, zaś Moskale rozwinęli się linią tyralierską, osłaniającą odwrót, na odsłoniętych polach. W ciągu dnia miało ich paść około trzystu, zaś naszych, jak powiadano, tylko siedmiu. Cyfr tych nie można było jeszcze wówczas skontrolować, ale okazały się prawdziwymi. Około 11 godziny w nocy ostatni oddział kozaków, wzięwszy w środek komendanta miasta, w szalonym galopie przeleciał ulicą i znikł w kierunku północnym. Na ulice, mimo późnej pory, wybiegła ludność, czekając każdej chwili pojawienia się naszych patroli. Ale nie przyszły. Zjawili się dopiero około południa. Przez cały ranek miasto nie miało pana, to też huligani miejscowi rozpoczęli taniec, i kradli co sił na rachunek przyjaciół dopiero co pożegnaných. Koło południa miasto zabrzmiało radosnymi okrzykami. Zaroiły się ulice, ludność znosiła swoim żołnierzom jedzenie, tytoń, napitek. Odrazu przepadło gdzieś zaniepokojenie, znikła niepewność. Na widok siwego munduru wszystko co złe pierzchnęło gdzieś i przepadło. Ziawili się też strzelcy ukraińscy i zostali obrzuceni kwiatami przez Rusinów zarówno jak i przez Polaków. Miasto, które niejednokrotnie było widownią sporów narodowościowych, zostało nagle zjednoczone, skonsolidowane w potrzebie uczczenia zasługi. Czyż przewidywano może, że ci młodzi polegną w trzech czwartych najałutrz w obronie tegoż miasta? Nareszcie w samo południe przeleciał niewidziany dawno, siwy automobil z oficerami i pognął na dworzec, biorąc go znowu w posiadanie. Stał jeszcze cały, chociaż wyrabowany doszczętnie. Okrzyki, wiwaty, powiewanie chustkami przeprowadziły wehikuł przez wszystkie ulice. Zjawili się oficerowie. Porwano ich na ręce i niesiono nie wiadomo gdzie. Wszyscy z radości potracili głowy. Naraz jakieś śpiewy rozebrzmiały od strony dzielnicy żydowskiej. Ukazał się korowód żydków w odświętnych ubiorach. Szli uroczysto z portretem ku miejscu, gdzie stał jakiś wyższy oficer i byliby niezawodnie wykonali cały ułożony program, gdyby nie to, że oficer ich zburczał po ojcowsku i zalecił udać się spokojnie do domów, gdyż nie wszystko było dotąd wygrane. We wtorek, dnia

19. października, przybył generał-dywizyoner Hoffmann i objął komendę miasta. Na spotkanie jego wyruszyła za miasto delegacja i powitała z radością nieopisaną. Obecność wysokiego dostojnika była oczywiście gwarancją, że wszystko jest już dobrze. Ale słowa, jakie wyrzekł, rozwiały czar. Oświadczył, że nie czas jeszcze na parady, gdyż przedewszystkiem należy zabrać się do roboty na seryo. I zabrał się, ale słowa jego niestety były proroczymi. Miasto tańczyło jeszcze całe, gdy nagle około godziny trzeciej popołudniu zahuczał nam nad głowami grom. To szrapnel wielkiego kalibru pękł nad samem śródmieściem. Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni. Nie mógł nikt pojąć, by to było bombardowanie. Niestety, jak później stwierdzono, dwa działa, ustawione u wejścia do wsi Podhorce, poczęły miotać na bezbronnych pociski. Dano do nas trzydzieści doskonale wymierzonych strzałów, a oficerowie rosyjscy, po ponownem wejściu do miasta, żartowali sobie opowiadając, w które punkty mierzyli, oraz zapytywali, czy dobrze strzelają artylerzyści rosyjscy. Straty w rozbitych i uszkodzonych budynkach opiewają na setki tysięcy, ponadto ranionych „cywilów“ obliczano na przeszło setkę, zaś kilkanaście osób padło trupem. Cyfry te nigdy nie zostały ustalone, albowiem w bardzo krótkim czasie nastąpiły ponownie rządy rosyjskie, a żalić się i wytaczać skarg nie było oczywiście wolno. I nie byłoby się na tem skończyło, przeciwnie, jak się zdaje, zamiarem Moskali było zniszczenie zupełne Stryja, ale strzelcy ukraińscy, podsunęli się cichaczem pod Podhorce, spadli na karki kozakom obsługującym działa, powiązali ich jak barany i wrócili pod wieczór z armatami i jeńcami w tryumfie do nas. Tymczasem Moskale podsunęli się pod miasto. Było ich teraz około 70.000, albowiem udało się im połączyć z częścią armii odpieranej przez naszych z pod Przemyśla. Tymczasem brygada, mająca nam przyjść z pomocą, nie zjawiała się. Napęliło nas to wielkim strachem. Wyczekiwaliśmy ustawicznie większych mas wojska, nadśluchiwaaliśmy, czy nie tętnią armaty. Daremnie. Potem dowiedzieliśmy się, że

cała linia frontu od Borysławia aż po Bolechowce-Neudorf została odepchniętą wstecz przez napór nieprzyjaciela, który ze swej strony znowu cofał się pod parciem naszej energicznej ofensywy, idącej od Przemyśla przez Sambor, Stary Sambor, Jakubową Wolę, Medenice. Tedy zbyt silny napór naszych, przeszkodził skutecznej obronie Stryja. Nie wiedząc o tem, nie mogliśmy opanować zdziwienia. Ufność nasza jednak była ciągle wielką. Tymczasem zaś ważyły się losy brygady pomocniczej i rozwijała się bohaterska gra jej dowódców. Odwrót odbywał się przez wieś Modrycz, Stebnik, Dobrogostaw, do Ułeczna. Nieprzyjaciel następował cofającym się na pięty. Od Stebnika począwszy, osłaniały odwrót wielkie lasy, które Moskale ostrzeliwali, celując coraz dalej, tak, że szrapnele szły za naszym wojskiem krok w krok, spażniając się jednak ciągle. Gdy nasi dotarli do miejscowości Orów, spostrzegli nagle, wychyliwszy się z lasów, że są niemal ze wszystkich stron otoczeni. Tymczasem nastał zmierzch i gęsta mgła rozłożyła się wokół... Jedyne wolne przejście stanowił sam grzbiet wysokiej 773 metrów góry, Bociewo. Pomysł wydawał się szalonym, a jednak go wykonano i to z powodzeniem zupełnem. Odkomenderowani ludzie, po trzydziestu do jednego wozu, wytaszczyli cały tren na górę i po tej nadludzkiej pracy, brygada znalazła się nietkniętą w dolinie rzeki Stryja,

we wsi Korczynie. Oczywiście w Stryju tymczasem rozegrała się tragedia. Tak się złożyło, że wojsko, które przyszło do Stryja, składało się z samego pospolitego ruszenia,

Przybyło też 130 wzmiankowanych strzelców ukraińskich. Oddział składał się z żołnierza wymienitego, przeważnie byli to jednorocznicy, ludzie wiedzący za co się biją, nieustraszeni, karni, słowem lwiątką prawdziwe. Kilka słów rozmowy wystarczało, by napęlić otuchą serca najtrwożliwszych. Potarzałem, że mieliśmy nieograniczone zaufanie do wojska naszego, jakkolwiek czuliśmy, że liczba jego jest znikoma. Swoją drogą nikomu na myśl nie przyszło, by Moskali było aż 70.000. Ogień karabinowy, trzask karabinów maszynowych trwał ciągle i natężenie jego wzrastało z każdą chwilą. Ustawicznie przejeżdżały ulicami wozy municyjne. Zjawienie się najmniejszego oddziału wojska witaliśmy jako ową upragnioną brygadę. Niestety, nie była to ona. Przebiegły jakieś dwie armaty. Powitano je oklaskami. Nikt nie wątpił, że to pomoc. Tymczasem przesunięto tylko dwa działa na centrum, gdzie sprawy nie szły najlepiej. Nasz front zajmował pas od gościńca drohobyckiego aż po rzekę Stryj, działa stały na lewem flanku pod lasem nieżuchowskim, centrum znajdowało się przy budce kolejowej na szlaku lwowskiego toru. Oddalenie od miasta było tak małe, że każdy niedostatecznie wymierzony pocisk moskiewski pękał mieszkańcom nad głowami. Chwilami deszcz kul prał w dachy dzielnic zewnętrznych. Niebawem pojawiły się grupy ludzi. Idąc popod ściany starali się dostać bliżej frontu, dla zabierania coraz to liczniejszych rannych naszych. Odwagę wielką wykazały niektóre panie z inteligencji miasta, bez uwagi na niebezpieczeństwo pragnące służyć swoim żołnierzom w ciężkiej chwili.

Lewe skrzydło znajdowało się w tej chwili we wsi Brigidau, niemieckiej osadzie — przy gościńcu wiodącym ze Stryja do Drohobycza.

Dosyć, że zostaliśmy dosłownie zasypani pociskami wszelkiego rodzaju i tylko piwnice, jakotako uchroniły ludność od masowej masakry.

tylna walczyć musiała na bagnety z nieprzyjacielem na środku rynku. Bito się formalnie na pięści.

biegały konie bez jeźdźców, zataczali się ranni, chcąc dojść do jakiegoś bezpiecznego schroniska. A środkiem ulic, niepomnie niebezpieczeństwa, kobiety i panie niosły, wiozły, prowadziły żołnierzy poranionych. Nad wszystkim górował piekielny skowyt szrapneli, brzęczenie pocisków mniejszych kalibrów, trzask karabinów maszynowych, rozszalała się orgia śmierci, ulice przysłonił dym palących się domów.

straż

straty Moskali, do których się sami przyznawali, wynosiły przeszło dwa tysiące poległych, mimo, że strzelali z lasu, nasze zaś wojsko okopane było w szczerem polu. Zresztą, cyfr nigdy w takich razach nie można skontrolować, a zdania różnych osób, ...wszystkich zresztą naczynych świadków... tak dalece się różniły, że nie można było ustalić liczby ofiar obustronnych.

Przez dwa jeszcze dni słyszeliśmy huk armat na linii Lubieńce-Synowódzko, poczem wszystko ucichło, my zaś uczuliśmy stokroć boleśniej jarzmo, które Opatrzność, w niezbadanych wyrokach swoich, na przeciąg kilku dni zdjęła z ramion naszych.



Saperzy.



Na linii.

EMMA ROSZYŃCÓWNA: IGRASZKI PANA.

„Ciąg dalszy.”

Zagadnięty, przystanął i pociągnął raz i drugi nosem całkiem w taki sposób, jakby wąchał tabakę.

— Da, da — przyświadczył i kichnął. — Pachnie całkiem jak róża.

— Pożał się Boże, jaki ty głupi, Iwanow... Inaczej pachnie wiosna, a całkiem inaczej pachnie róża.

Iwanow nie obraził się wcale. Zmiarkował, że powiedział niepomierne głupstwo, więc się cofnął zawstydzony i znów jął się rozpatrywać po rowach, polu i niebie. Wreszcie nabrał w piersi pełno tchu, zrównał się z kozakiem i trącił go delikatnie łokciem w bok.

— Czy tobie nie dziwno Kirku, że tyle zmieniło się tu na świecie, taki kawał świata przeszliśmy, tylu naszych na wieczność do ziemi się pokładło, Aleksiej Piotrowicz, co ledwie podpisać się umie, oficerem został, Iwan Iwanowicz kapralem, a bratu jego puka głowę oderwała — a tam w górze, u Pana Boga, wszystko po staremu. Nie zmieniło się nawet tyle, co brudu za paznokciem. Słońce po staremu z zimowego, zimnego, zmienilo się w wiosenne, ciepłe, trawa, jak co roku, zielonemi szpilkami wydobywa się z ziemi, bociany sobie po mokradłach łążą i bazie na wierzbach wiszą... Dzień po dniu od wschodu do zachodu słońca, ba, nawet w księżycowe noce, grają w Karpatach armaty. Car niebieski widno nie dosłysza na starość, albo zamknął umyślnie drzwi niebieskie na cztery spusty, by nie spo-

głądać na russki naród. A może — zniżył głos i w swych oczach błysnął mu lęk, którym przejęła go nagle myśl, co nie wiedzieć skąd w głowie mu się wylęła — a może — jak myślisz Kirku? — car niebieski nie prawosławny jest, nie russki, a germański...

— Ot, powiedział mądre słowo — pokiwał z politowaniem kozak głową. — Car niebieski jest prawosławny, jak ja albo ty, i caryca niebieska Marya, prawosławna, i archanioł Gabryel i Michał, i święty Piotr i Mikołaj, i co możniejsze w niebie jest prawosławne. Jeni ministrowie u Boga są rozmaici: jest angielski, jest francuski, jest turecki, jak nasz Rufuła Achmed, musi być i germański. Ten ciągle koło niebieskiego cara zabiega, siebie wychwala i swoich interesów dobrze pilnuje.

— Da, da, dobrze pilnuje — przyświadczył Iwanow.

— Jest i russki minister, ale ten, jak wszyscy russcy czynownicy, do niczego. Pewno sobie wódkę w kacie ciągnie (w carstwie niebieskiem nie tak, jak na ziemi, wolno pić choćby prostemu sałdatowi, ile dusza zapragnie), a nam tu źle i coraz gorzej.

— Da coraz nam gorzej — przyświadczył Iwanow. — Spójrzyj, Kirku, kto tam nadchodzi drogą ode wsi? Nie daj Boże, przylapią nas i powieszają...

Kozak ręką osłonił oczy od blasku słońca i popatrzał w stronę wsi.

— W sam czas wyszliśmy z domu — błysnęły mu

oczyska jak wilkowi. — Dziewczeta idą po chróst do lasu. Schowamy się po za wierzby, by ich nie spłoszyć przed czasem i przepuścimy je przodem. Hej, Rufuła, włazże za wierzbę!...

Rufuła wlepił swoje krągłe oczy w mówiącego, nie rozumiejąc, czego od niego żądają. Potężny kuksaniec w bok w mig mu to wytłumaczył. Włazł więc za wierzbę, a że miejsca dla niego nie stało, przykucnął u nóg kozaka.

Dziewczeta szły zbite w ciasną gromadkę, trzepotając się i ćwierkocąc, niby stado wiosennego ptactwa. Przodem szła Marysia Kołodziejówna, śniada na twarzy, biała i czarno ubrana, plotkarka wielka i wiercipięta — istna sroka. Obok niej dreptała Jadwisia Kołodziejówna, jej stryjeczna, taka sama śniada, czarnooka i zgrabna. Sznur dużych niebieskich pereł ze szkła, okręcony dookoła śniadej szyjki, podnosił jej cygańską urodę, czarność oczu i biel zębów, i czynił ją podobną do kraski.

Dalej szły, niby wilga z gilem: Agnieszka Gąskówna w żółtym fartuszk i żółtej chustce na głowie i Olga Czołowska w czerwonej. Agnieszka miała białą i słodką, jak lipcowy miód, twarzyczkę i białe niby len włosy, które jej kosmykami spadały z pod żółtej chustki na oczy, a Olga malutką myszkę z ogonkiem w prawym kąciku ust. Dziewczyna ustawicznie się śmiała z łada przyczyny, albo i całkiem bez przyczyny, więc malutka myszka kręciła jej się na twarzy jak żywa i umykała ciągle z kącika ust na prawy policzek. Za niemi stawała powoli ćwierćmilowe, niby czapla, kroki Oleśka Bura, najwyższa i najsilniejsza z lubienieckich kobiet. Niebieskie jej perkale ze starości i ciągłego prania, była bowiem bardzo biedna i jeden tylko przyodziewek miała, spęzły na popielato niby czaple pióra, za to na jej krągłej twarzy kwitły różane rumieńce i czyniły ją najpiękniejszą z dziewcząt.

Na samym końcu, z dziesięć kroków za Olesią, katalała się krótką i okrągłą Anusia Sperkówna. Ta miała na plecach czerwony w duże czarne kropki kaftanik i przypominała do złudzenia biedronkę siedmiokropkę, która nie wiedzieć po co przyplątała się do ptasiego towarzystwa, kroczonego wiejską drogą w stronę lasu, i krótkimi swoimi nóżkami nadążyć mu w chodzie nie mogła.

Przycażeni za wierzbami saldaci udzielali sobie wzajemnie uwag nad zbliżającymi się dziewczętami. Jeden Rufuła Achmed nic nie mówił, jeno patrzył na dziewczętą i obliżywał się.

— Te dwie czarne czereśnie na przodzie niczego — mówił kozak. — Muszą być słodkie, jak myślisz Iwanow?

— Nic sobie nie myślę. U mnie w domu troje dzieci i baba, jak sam czart kłótniwa, gdzie mi myśleć o zrywaniu czarnych czereśni z cudzego ogrodu...

— Popatrz się Iwanow, na tę w czerwonej chustce na głowie. Ma najprawdziwszą mysz z ogonkiem na policzku. Tamtej, w żółtej chustce, twarzy nie dojrzeć. Spadły jej włosy na oczy i twarz zasłoniły.

— Lepiej nie patrzeć na nią, Kirku. Takie z jasnymi włosami, najgorsze. Moja baba też ma takie poszycie z owsianej słomy na głowie.

— A już ta wysoka i rumiana istne чудо! Nie obliżuj się Rufuło, bo ci kości poprzetrącam.

— I tej lepiej nie zaczepiać. Zajadłe dziewczynisko i mocne, niczem trzech saldatów. Ze cztery tygodnie temu, zanim jeszcze ty do nas przystałeś, zobaczyło ją dwu naszych, jak widłami słomę na strych składała, przeskoczyło płot i dalejże w zaloty. Dziewczyna po pierwszym słowie chwyciła za widły i przebiła niemi

na wylot tego, co stał bliżej. Chciała przebić jeszcze drugiego, ale uciekł i schował się w suchych burzanach za płotem. Saldata zabrano do szpitalu i tam umarł nieborak, a dziewczynę poprowadzili nasi do komendanta. Komendant nie rzekł jej złego słowa, jeszcze trzy ruble podarował. Teraz dziewczyna przed saldatami zadziera nosa, a saldaci unikają jej jak ognia.

Kozak, nie słuchając dalej, palnął się po czapie, aż zaczerwieniło dziurawe dno, zacieśnił pasa i wyskoczył z za wierzby. Iwanow i Rufuła, niepewni przyjęcia, zwolna gramolili się przez rów na drogę.

Dziewczeta, zobaczywszy Moskali, stanęły jak wryte na środku drogi, niepewne, czy iść do lasu, czy wracać się do domu. Rzekłbyś, że na stadko rozćwierkanych ptasząt spadły zniecka dwa płowe jastrzębie i czarny kruk, do którego czarno odziany i garbatonosy kozak był podobny. Rozległ się głośny szloch. To biedna biedronka, której drogę do reszty dziewcząt zastąpił swoimi plecami straszny kozaczysko i obaj saldaci, rozpląkała się w głos. Sroka i Kraska, którym znowu Rufuła z bliska w oczy zaglądał, wzięwszy się za ręce, dygotały ze strachu. Agnieszka, bliska płaczu, drżącym głosem dopominała się, by wracać. Jedna Olga z myszką, schowana bezpiecznie za Oleśczyną spodnicę, dusiła się ze śmiechu. Ta, wiadomo, zawsze się śmiała. Oleśce sypnęły się skry z siwych oczu.

— Nie bójcie się, głupie... Nas tu sześć, a ich trzech tylko... Przytem ja sama jedna za trzech takich stanę. Popatrz — podsunęła kozaczysko pięść pod nos — niechaj który odważy się nas zaczepić, za nogi, głowę w dół, na sośnie powieszę i kruki mu oczy wydziobią. Czego buczysz, Anno?

Tę już ze swej strony uspokajał Iwanow, gładząc szlochającą ręką po głowie.

— Nie płacz. Przecie my nie wilcy, byśmy was pojedli...

— Będziemy jeszcze was od wilków bronić w lesie — dodał kozak zuchowato.

— Wy sami gorzej wilków!

— Gałęzi wam szablami narąbiemy — obiecywał Iwanow.

— Obejdzie się! — zawołały chórem dziewczeta, którym stanowcza postawa Oleśki zwykły rezon przywróciła.

— To choć iść razem z wami pozwólcie — pokornie dopraszał się kozak.

Zmiarkował zdaje się, że pokorą najprędzej skaptuje sobie hardą dziewczynę, a może pięść jej, którą mu pod nos podsunęła, respektem go przejęła i tak spokorniała.

— Innej drogi do lasu nie ma, a ta droga nie moja. Zabronić wam iść nie mogę — zdecydowała Olesia. — Jeno zaczep się który!...

I znowu wielka pięść dziewczyny zetknęła się z nosem kozaka.

— Jej Bohu, ani mi w myśli powstało was zaczepiać — zapewniał ją kozak.

Poszli więc wszyscy razem. Przodem koło Marysi i Jadwigi kroczył Rufuła Achmet i namyslał się w jakibym sposób zacząć rozmowę. Wiosenny wiatr, wiejący od lasu rozwiewał mu pół szwnela, narzuconego na ramiona, niby jastrzębie skrzydła. Dziewczeta przysłuchiwały się długiemu nosowi Turka i dusiły się ze śmiechu.

— Powiedz nam, panie saldat — dopytywała się z niewinną minką Jadwiga — czy u was w Rosyi i indorów biorą do wojska?

Turek wytrzeszczył na nią okrągłe oczy i oczywiście nic nie odpowiedział.

— To nie indyk, to sowa, — bo ma sowie oczy — zachichotała się jej stryjeczna siostra.

— On Turek. Nie rozumie, co do niego mówicie — wtrącił idący za nimi między Agnieszką, biedronką a Olga, Iwanow.

— Turek?! — zaciekała się Olga i pobiegła naprzód. — Muszę mu się przyjrzeć z bliska. Nigdy jeszcze żywego Turka nie widziałam... Pfe! Brzydak co się zowie i nos sobie w Karpatach odmroził...

Turek w odpowiedzi uśmiechnął się najwdzięczniej, jak umiał.

Kozak tymczasem smalił cholewki do Olesi. Czarne oczyska wywracał i białkami świecił, wzdychał jak wiatr w kominie i cienkimi wąsami jak karaczan ruszał. Oliwkowy pas na sobie tak ściągał, że chwiał się w chodzie i zdawało się, że lada chwila w pasie się przełamie. Z dziewcząt jedna tylko Agnieszka mogła się z nim mierzyć pod względem smukłości pleców i cienkości w pasie, i to, zdaje się, po stronie kozaka byłaby wygrana. A im bardziej kozak się zalecał, tem wzgardliwiej dziewczyna wydymała usta.

— Gdy ujrzałem ciebie, czarnobrewa, idącą drogą — wzdychał kozak — zdawało mi się, że to słońce zeszło z nieba i do lasu sobie idzie.

— A czego schowałeś się za wierzbę?... Kto ma czyste sumienie, słońca się nie boi.

— Odkąd żyję, nie widziałem takiej, jak ty, krasawicy — ominął troskliwie pytanie. — Spojrzałem i na śmierć się rozmiłowałem.

— Dałbyś mi pokój z miłowaniem... Jak mi który o niem wspomni, aż mię za gardło ściska z obrzydzenia.

— Dlaczego takaś nieużyta, dziewczyno? Ja przecie tylko po służbie wróg... Nasze baby w Rosyi nie takie harde. Z waszymi plennymi dzień i noc tańczują — prawda Iwanow?

— Ech, dałbym ja jej tańcowanie — odparł zapytany. — Wydarłbym jej resztę owsianego poszycia z głowy.

Marysia Kołodziejówna przekreśliła główkę i spojrzała na Oleśkę z miną sroki, która zamyśla wystrychnąć coś złośliwego.

— Ej, Olesiu, nie każdy kolek w płocie spróchniały, nie każdy chłopiec do Pawła podobny...

Oleśce ściągnęły się krucze brwi, jakby od nagłego bólu i na mgnienie oka przybladły rumieńce.

— Co za Pawło? — nastawiał kozak czujnie, jak karaczan wąsy.

Dziewczyna chciała coś odrzec, ale zbladłe wargi zaruszały się tylko bezdźwięcznie.

— Kochali się z Oleśką przez trzy lata — recytowała za nią kłośliwa sroka. — A potem ją porzucił i ożenił się z inną. Głupia Olesia z desperacji za nim tyfusu dostała i omal nie umarła.

— Już ja go dostanę w swoje ręce! — poruszył kozak wąsami, niby prawdziwy karaczan. — Żywcem ze skóry obłupię.

— A bierz go sobie — roześmiała się wzgardliwie Olesia i różane rumieńce na twarz jej wróciły. — Akurat siedzi na najwyższym szczycie Karpat.

— Posłuchaj mnie Olenko — nachylił się do niej kozak — jam nie taki nie stały, jak ten twój Pawło co w Karpatach siedzi. Gdy pokocham, to do śmierci będę kochać. Chałupa u mnie nad Donem obszerna i jasna, w spichrzu ziarna od lat dziesięciu, aż pod samą powalę. Pop da nam ślub... Tylko spojrzysz na mnie, Olenko, łaskawiej.

— Aha, to na to popów wozicie ze sobą, żeby wam

po drodze, gdzie wypadnie, śluby dawali. Waszemu praporszczykowi do panny hrabianki ze dworu także omal oczy nie wylazły i też z miejsca byłby ślub brał... Wyszyscy jednacy. Ciekawa jestem tylko, po co na tę wyprawę na baby ciągnęliście ze sobą armaty? Było przyjsć po dobremu z muzyką i wódką, może byłoby z tuzin ladajakich do was przystało...

Przyciągnęliśmy armaty, żeby waszych od was wystraszyć.

— A teraz oni was z za gór straszą.

— Już nie będą nas dłużej straszyć. Z Karpat śnieg zlaży, przeskoczmy je teraz jedną nogą. Prawda, Iwanow?

— Da, da, rozpędzimy się, pluniemy w ręce i jedną nogą przeskoczmy.

Biedronce z podziwu oczy stały się krągłe, niby kropki na jej czerwonym kaftaniku.

— Jabyśmy góry nie potrafiła przeskoczyć... A ty, Jaguś, czybyś potrafiła?

— I ja także nie potrafiłabym — zaśpiewała cienko, niby wilga, Agnieszka. — Najwyżej przeskoczyłabym ten ot krzaczek tarniny przy drodze, gdyby nie miał takich kolców. Panie saldat, próbowaliście już tak przeskakiwać górę?

— Próbować nie próbował, bo nie było rozkazu skakać. Ale jak komendant rozkaże skakać, tak i będziemy.

— A ja, choćby mi komendant dziesięć razy rozkazał, nie dokazałabym tej sztuki — wtrąciła biedronka.

Oleśka milczała. Z pod kruczych, lekko ściągniętych brwi, siwe jej oczy patrzyły na saldatów chłodno i niezbadane. Kozak patrzył w te oczy, płonął, jak garść słomy i coraz bardziej tracił głowę. Pokaże harderz dziewczynie, co za sławny wojak z niego... Siwe oczy przelekną się, spokornieją i rozbłyszczą podziwem...

— Naszego wojska tyle, ile gwiazd na niebie... Przejdziemy góry i pójdziemy prosto do Budapesztu.

— Da, prostą drogą pójdziemy do Budapesztu.

— A potem pójdziemy do Wiednia.

— A do Częstochowy pójdziecie? — spytała się Agnieszka, która tam raz była, gdy dziesięć lat miała, z ciotką organistką na odpuszcie.

— Coś mi się wydaje, że Częstochowa nasza — zawałał się kozak. — A jak tobie się zdaje, Iwanow?

— Bóg to wie — pokręcił głową Iwanow. — Teraz takie czasy nastały, że człowiek nawet za skórę na grzbiecie zareczyć nie może, czy jego własna.

— Nasi odebrali wam Częstochowę — odezwała się Oleśka.

— Tak, pójdziemy do Częstochowy!

— Rety! — zaśpiewała Agnieszka — Marvś, Olgo, Jadwisiu, słyszycie dziewczęta? Moskale aż do Częstochowy pójdą!

Maryś, Olga i Jadwisia nie słuchały. Rufuła Achmet bowiem, rozdzieliwszy między dziewczęta wszystkie amulety, jakie posiadał, obdarowywał je w dalszym ciągu dwoma tureckimi pieniążkami ze srebra i jedną półkopiejką z miedzi, ostatnimi rieniadzmi, które mu w kieszeni dzwoniły. Dziewczeta wdzierały sobie tureckie srebro, a rosyjskiej miedzi żadna nie chciała. Jadwiga i Marysia pochwytwały srebrniaki, a miedź została się Oldze z myszką. Obrażona na Rufule, cisnęła miedziakiem o ziemię i przyłączyła się do Agnieszki i biedronki. Przyłączając się, usłyszała coś niecoś o Częstochowie.

— A do Kalwarvi Zebrzydowskiej nie pójdziecie? Byłam tam raz na odpuszcie, akurat, gdy Najświętszą Pannienkę do grobu chowali. Piękny co się zowie i paradny

pogrzeb Królowa niebieska miała. Nawet za rodzoną babką, co mi dwa lata temu umarła, tak nie płakałam. Myślałam, że od łez się rozplnę...

— Da, pójdziemy i do Kalwaryi.

— A do Rzymu, gdzie ojciec święty mieszka, pójdziecie? — spytała biedronka, nie chcąc pozostać w tyle za Agnieszką i Olgą.

Dziad jej chrzestnego ojca był w Rzymie.

— I do Rzymu pójdziemy, prawda Iwanow?

— Da — przyświadczył Iwanow — pójdziemy.

— I do Krakowa pójdziecie? — któreś z dziewcząt temu już zabrakło.

Z siwych oczu Oleśki, miast to podziwu, wyjrzało w tej chwili tyle wzgardy, że kozak zawahał się.

— Może pójdziemy, a może nie pójdziemy...

— Da, nie pójdziemy do Krakowa, — zdecydował Iwanow — bo za daleko.

— A Niemców się nie boicie? — spytała jedna z dziewcząt.

— Niemiec zdrowo bije — odrzekł wymijająco Iwanow.

— Pewno, że nie boimy się — poprawił go buńczucznie kozak. — Raz nas biją, drugi raz my bijemy. A który boi się, to mu kulka w łeb.

— Da, przedwcześniej trzech rozstrzelano, co ze strachu z pozycji uciekli.

— Ot, głupi! Plecie, sam nie wie co... My się Niemców nie boimy. Ja sam miałem żywego germańskiego kapitana w rękę.

— Kiedy go miałeś? Jak?... Opowiedz nam — otoczyły go dziewczęta kołem.

Oleśka brwi ściągnęła, biedronce ze strachu wylazły na wierzch oczy, Agnieszce spadły jasne włosy aż na nos. Nawet Oldze, po raz pierwszy w życiu, myszka nad otwartymi z podziwu ustami stanęła nieruchomo, z ogonkiem zwróconym ku kącikowi ust.

— Kiedy? Jak?... Prawdziwego germańskiego kapitana miałeś w rękę? Jak się to stało?...

— Nas było — opowiadał kozak — sześciu na koniach, a on jeden, pieszko ranny w prawą rękę i lewe kolano. Tak my go i złapali. Młody był, chłop wyższy jeszcze odemnie, jasnowłosy i bez czapki, bo mu ją któryś z naszych, gdy się hardo stawiał, szablą strącił z głowy. Złapawszy, wiedliśmy go do komendanta, oczu zeń dniem i nocą nie spuszczać. Siedział — my koło niego z nabitemi strzelbami siedzieli, położył się — z nas jeden koło głowy, dwu po bokach, a trzech w nogach leżało. On nie spał, bo go piekły nieopatrzone rany, tylko wił się po ziemi i usta do krwi, by nie krzyczeć głośno, kasał, my nie spali przy nim, zdrową jego rękę ciągle na oku mając. Nie dawaliśmy mu do niej nawet noża, by sobie chleba ukroił, z obawy, by nas nie zażgał, jeno musiał chleb rwać zębami.

— I coście z nim zrobili? — głos Oleśki brzmiał głucho, jakby z oddali.

Biedronka nie spuszczała oczu ze straszego kozaka. Agnieszka dygotała, jak gałązka osiczyny na wietrze. Oldze z myszką płynęły po policzkach łzy tak obficie, jak gdyby chciały zmyć owe ztanie z policzka. O kilkanaście kroków na przodzie dwie czarne czereśnie, chichotając się, oglądały do słońca wyłudzone tureckie pieniądze.

— Co się stało z germańskim kapitanem?...

— Uciekł nam — odsapnął kozak. — Ot, czort, nie germański kapitan!

Dziewczęta roześmiały się. Nawet Oleśka poweselała.

Zobaczył to kozak i wzięwszy się pod bok, przysunął się do pięknej dziewczyny.

— A jak będziemy wracać z Wiednia, tak wstąpię tutaj do Lubieniec i zabiorę ciebie, Olenko, ze sobą. Pójdziesz ze mną?

— A masz chyżego konia?

— Dlaczego mię pytasz o konia? — pomacał się kozak ręką po czapie, jak gdyby chciał się przekonać, czy ten drogocenny przedmiot siedzi mu jeszcze na głowie, i dodał ciszej: — Nie mam żadnego...

— To nie chcę. Twój rozum w końskich nogach. Gdy będziesz z pod Wiednia zmykał nie na koniu tylko piechotą, nasi ciebie złapią i powieszą, a ja — roześmiała się szczerze — zostanę wdową po kozaku. Wtedy chyba i mnie wieszać się na jednej z toba gałęzi. Lepiej, by drapieżne ptactwo wykłuło mi oczy, niżli ludzkie przetyki.

— O konia ci chodzi? Przrzeknij jeno, że pojedziesz ze mną do Rosyi, — zapalił się kozak, olśniony uśmiechem pięknej dziewczyny — a ukradnę konia choćby samemu praporszczykowi jego białonóżkę Maszę. Albo korpuśnemu komendantowi jego pawozkę na gumach i siwą trójkę, co nią jeździ po mieście.

— A generał kazałby ciebie za „pawozkę“ powiesić... Tak, czy owak, powieszą ciebie, kozacze. Pisana ci śmierć na gałęzi.

— Pfu! — splunął kozak za siebie — śmiesz się jak anioł, a kraczesz jak wrona. Nauczyłby ja ciebie, gdybyś mi w serce głęboko, jak cierń, nie załazła.

— Mam w domu — mówił Iwanow do biedronki — siostrę jedyną, kropła w kropkę do ciebie podobną, tylko trochę niższą i szerszą... U nas w Rosyi wszystkie takie.

— Słyszysz, Jagulu? — szeptała rozpromieniona biedronka Agnieszce do ucha — a mówiłaś, że tłusciejszej ode mnie niema na całym świecie.

Rufuła Achmet nic nie gadał, tylko milczkiem, zdaje się, chciał skosztować czarnych czereśni, czy słodkie, bo naraz rozległ się trzask policzka i Turek zatoczył się do rowu.

Strach, — wzdychał Iwanow — jak mi przypadał do serca. Gdybym nie miał w domu baby i trojga dzieci, zabrałbym ciebie ze sobą do Rosyi. Cóż, poszłabyś ze mną?

— Weźcie sobie lepiej, panie sałdat, Jagusię albo Olgę — wywinęła się biedronka, nie wiedzieć czy z załotności, czy z niechęci do Moskala. — Olga ma cztery morgi pola, Agnieszka trzy, a ja tylko półtora, a z tego półtora pół morga kamienistego nieużytku.

— Wolalabym położyć się do trumny, niż pójść za Moskala — potrząsnęła Agnieszka energicznie płowymi strakami włosów.

— A ja także — zawtórowała jej Olga z myszką.

— Ot dola — żalił się kozak — Niemiec wróg, dziewczyna wróg...

Turek, chociaż mu poszło najgorzej, nie żalił się i nie wzdychał, tylko powoli gramolił się z rowu na drogę. Wygramoliwszy się, przetarł sobie kułakiem zbryzgane błotem oczy i z niezmiennym, słodkim na ustach uśmiechem posunął do chichoczących się czereśni.

Dochodzili właśnie do lasu. Owa szafirowa i fioletowa mgła, która z oddali stroiła las niby w pawie pióra, z bliska rozwiała się bez śladu. W ciepłym i przeźroczystym powietrzu leśne drzewa stały bezlistne jeszcze i szare. Na splecionej siatce gałęzi pnie drzewne znaczyły się smukło pionowymi kreskami całe od góry aż do dołu. Gdziekolwiek tylko na najcieńszych gałązkach widać było pierwsze paki. Wyglądało to, jak

gdyby kto na te gałązki ponawieżywał brudno-białych i zielonawych paciorków. Za to dołem lasu, w mokradłach, rozkładały niezliczone jaskry swoje szerokie, do dłoni podobne liście, prosiły zeszłoroczną trawę, niby śniegiem, pierwiosnki i chwiały się na wątlach nóżkach delikatne śnieżyczki. Miejscami, na bezlistnych krzakach, kwitła wilcza jagoda. Mocna jej, cieplarniana woń, w dziwny akord łączyła się ze swojskim zapachem rozłajanej ziemi, młodej trawy i leśnej wilgoci, a chorobliwy czar różowych kwiatów dziwaczną strugą wpływał w niebieski dzień kwietniowy.

Pomiędzy krzakami wilczej jagody uwijało się jakieś drobne, jasno-zielone stworzenie. Na pierwszy rzut oka nie można było poznać, czy to się uwija większy nad zwykłą miarę pasikonik, czy mniejsza nad zwykłą miarę dziewczynka w zielonej sukience.

— Antka, — klasnęła Agnieszka w ręce — a ty co tu robisz?! Chodźno tutaj!

Problematiczne stworzenie wylazło z krzaków i stanęło przed dziewczętami zalegnione i całe drżące. Teraz dopiero można było skonstatować, że to nie był pasikonik, tylko dziewczynka w spłowiałej zielonej sukience, z płowymi jak u Agnieszki włosami, tak samo spadającymi niezliczonymi kosmykami na nos i wystające oczy. W rękach trzymała ogromny bukiet z gałązek wilczej jagody.

— Co tu robisz? Gadać, a prędko — trzęsła Agnieszka nad młodszą siostrą zawiejając jasnych włosów.

Biedny pasikonik wnużył głowę w różowy bukiet i milczał.

— Daj pokój dziecku — wstawił się Iwanow za małością.

— Posadziła ją matka z rana nad koszykiem ziemniaków, by je strugała, a ta mysz ostrugała półtora ziemniaka i znikła — opowiadała Agnieszka dziewczętom.

— Gadać — zwróciła się do siostry — co tu robisz?

— Kwiaty zbieram...

— Ładne kwiaty... Sama wilcza jagoda. Nie wachaj tego, bo zachorujesz i umrzesz. Rzuć to zaraz na ziemię. Nie chcesz? Z rąk ci wydrę i sama rzucę. Ot tak. Teraz pójdziesz ze mną w las nazbierać chrustu. A zbieraj pilnie... Jak nazbierasz dużą wiązkę, to cię obronię przed matką, gdy matka będzie bić ciebie za to, żeś umknęła od strugania ziemniaków.

— A co, nie mówiłem? Taka sama złoźnica, jak moja baba.

— Ty, Olenko, jesteś jak to wilcze kwiecie — wzdychał kozak z zamglonym żalem, niby mgłą, oczyskami. Różowa, pachnąca, a słowami trujesz...

Obie Kołodziejówny, ta do sroki i ta do kraski podobna, mając w środku między sobą Turka, starały się gestami namówić go, by próbował pukać czerwonym nosem o korę.

(C. d. n.).

ANTONI WAŚKOWSKI: JUŻ JESIEŃ NASZŁA...

*Już jesień naszła, jesień smutna,
a jeszcze w polu cały płon —
mgły jak śmiertelne wiszą płótna,
niebo, jak ołowiany dzwon.*

*A sama śmierć ten dzwon kolebie,
wali weń kosą z całych sił —
może tam gdzieś w rozmokłej glebie
szarpie się duch, co orłem był...*

*Może tysiące serc w tej chwili
przeszył stalowy silny ból...
Skrzypiący krzyż nad wsią się chyli,
żałoba palrzy się od pól.*

*A deszcz natrętnie dzwoni w okno,
mrok się z pobliskich czołga wzgórz —
badyłe malw na deszczu mokną
niby pokutny orszak dusz.*

*O dolo ty, pokuto długa,
miecz wyorałem z czarnych skib —
zaduma ciężka i szaruga
dobija się do moich szyb.*

*Po ołowianym nieboskłonie
Śmierć bije kosą jak we dzwon —
los już nad wsią załamał dłonie,
na polach zmarniał cały płon...*

P R Z E G L Ą D.

Z SALI ODCZYTOWEJ.

Na dochód głodnych w Warszawie mówił onegdaj p. L u c y a n R y d e l w auli uniwersyteckiej „o stylu w teatrze“. W godzinnym wykładzie potrafił temat sam w sobie obszerny, trącający nadto o szereg zagadnień granicznych, ująć w całość przejrzyście w toku, bogatą w formie, z temperamentem wygłoszoną. Poczynając od definicji stylu wogóle, rozróżnienia stylu epoki, stylu osobistego i stylizacji, dał kolejno opartą na głębokim znawstwie przedmiotu, a pełną polotu poetycznego charakterystykę teatru antycznego, średniowiecznego, komedii del'arte, sceny Szekspira, pseudoklasycznej, romantycznej, naturalistycznej i skończył na współczesnych próbach reformy Antoine'a, Gordona Craig'a, Stanisławskiego, Reinhardta, Wyspiańskiego. Partye takie, jak obraz tragikomicznych antytez Szekspira, archaicznej stylizacji oxfordzkiej, wywiedziony z portretu Moliere'a w roli Juliusza Cezara styl wersalskiego antyku, marivaudage wyrzeźbiony w porcelanowym menuecie à la Watteau, wreszcie pełna humoru charakterystyka zwyrodnień „konsekwentnego naturalizmu“ — były świadectwem rzetelnego znawstwa i świetnej maestrii żywego słowa.

Wykład, który był poniekąd teoretycznym exposé inaugurującego się sezonu, dał poznać w osobie nowego dyre-

ktora przeciwnika naturalistycznych czy muzealnych tradycji inscenizacyjnych, a wielbiela idealizacji, z którejkolwiekby przyszła strony. Znak to, że mamy do czynienia nie tylko z wybitnym poetą, erudytem pełnym literackiej kultury, causerem wielkiego wdzięku i ekspresji, ale — co teraz najważniejsza — z rasowym człowiekiem teatru w znaczeniu wskrós nowocześnie.

ład. św.

TEATR POLSKI NA WYCHODŹCTWIE.

Już to pozostanie jedną z najwspanialszych kart naszego życia wychodźczego, że skoro tylko rozbiliśmy wędrowne namioty i zdołali zaledwie ubezpieczyć ich koły — już powstał cały szereg instytucji humanitarnych i stowarzyszeń opieki różnego rodzaju w łonie nas samych. Bez zwłoki też prawie zwróciliśmy baczną uwagę na nasze życie duchowe i oto powstały szkoły różnego typu, czasopisma i dzienniki, wydawnictwa aktualne i teatr. Organizowano odczyty, urządzano nabożeństwa i obchody narodowe, jednym słowem, zabiło życie polskie pełnem tętnem, skupiając do wspólnej pracy wszystkich, bez względu na przekonania osobiste i polityczne. A podtrzymywało się je ze wszystkich stron jakby w obawie, że ono osłabnąć może na długo... Dobra była ta próba prężności sił duchowych i gdy dziś spoglądamy na miniony rok, przyznać trzeba, że udała się

ze wszech miar i że bezwątpienia zrodziła niejedno ziarno, które rzucone pod nowy zasiew w kraju — wyda zbawienne owoce.

Trudne ze wszech miar zadanie miał teatr polski na wychodźstwie. I zapisać tu trzeba stanowczo jako czyn dodatkowy w działalności dyr. Hellera fakt, że pokonawszy trudności, jakie się piętrzyły przed tą instytucją — rozpoczął tułaczą (w dwójnasób) wędrowkę po scenach wiedeńskich. Skupiwszy bowiem garstkę aktorów-wychodźców, musiał się co kilka tygodni przenosić na inną scenę tutejszą, gdyż każdy z dyrektorów scen otrzymywał od władz pozwolenie urządzania „gościnnych“ występów trupy polskiej na ograniczony ściśle okres czasu. — Początkowo 4, potem 3, w końcu dwa razy w tygodniu rozbrzmiewało słowo polskie ze scen tutejszych, a repertuar układano stosunkowo umiejętnie, składając go przeważnie ze sztuk polskich, przy czem trudności były niemałe, gdy się zważy, że nawet o wydostanie egzemplarza niejednej sztuki trzeba było duże czynić starania, o czem sekretarz teatru Nikorowicz mógłby niejedno powiedzieć. W drugiej połowie kwietnia zakończył dyr. Heller swoją imprezę, czekając możliwości powrotu do Lwowa, dokąd się natychmiast po jego wyswobodzeniu przeniósł na swój posterunek.

Nie zwiesiła beczynnie ręk pozostała we Wiedniu garstka artystów i zamiast rdzewieć w beczynności, utworzyła zespół, który zadowalając się bardzo nieznacznym udziałem, przeznacza czysty dochód przedstawień w sali przy Johannesgasse 4 na rzecz tak ważnej instytucji, jaką jest „Gospoda Legionistów“. — Cel humanitarny ułatwia stanowisko wobec władz i wypełnia co tygodnia salę teatru polskiego po brzegi. Zasluga to niemała zespołu artystów, że łącząc przyjemne z pożytecznym, tworzy ostoję duchowego życia wychodźczego bardzo ważną, przy czem nie wolno pominąć, że i tę ważną placówkę darzy swoją opieką niestrudzony orędownik spraw wychodźców, radca dworu Juliusz Twardowski.

Gdy się pisze ocenę poszczególnych sztuk, wystawianych przez zespół przeważnie młodych sił, trzeba niejedno wytknąć, spełniając przytem pewną pedagogiczną misję. Gdy się zaś rzecz ujmuję z ogólniejszego stanowiska, trzeba przyznać, że młodzi nasi artyści robią co mogą, aby tę instytucję utrwalić w miłej pamięci kolonii polskiej. Szczupłe środki merytalne i techniczne są powodem wielu luk, które jednak pokrywa szlachetny cel: dania godnej rozrywki nie tylko naszym kołom wychodźczym ale i bytującym we Wiedniu chwilowo Legionistom. — Repertuar jest rozmaity, ale i tu trudno stawiać wielkie wymagania wobec trudności, jakie inne sceny polskie czynią tutejszemu zespołowi z użyczeniem mu egzemplarzy sztuk. — Dotychczas wystawiono ze sztuk polskich autorów: „Śluby panieńskie“ Fredry, sceny z „Nocy Listopadowej“ i „Kordyana“ (w dniu rocznicy 16. sierpnia) „Lekkomyślną siostrę“ Perzyńskiego, „Mężczyznę“ Zapolskiej, „Grę“ Żuławskiego, poprzedzoną konferencją literacką prof. Geszwinda (ku uczczeniu pamięci autora), „Na zawsze“ Rydla, „Klub kawalerów“ i „Ciepłą wdówkę“ Bałuckiego, obcych autorów: „20 dni kozy“ Hennequina, „Świat bez mężczyzn“ Engla i Horsta oraz „Ciotkę Karola“ Brandona. Na 12 więc sztuk wystawiono 9 polskich, co stanowczo na chlubę kierownictwa zapisać należy. Zespół stanowią z sił kobiecych artystki, mające już ustaloną markę, a więc: Łuszczkiewiczówna, Wierzejska, Wiland, Wernicz, Hohendlinger, z mężczyzn panowie: Berski, Bizeski, Benda, Schmid, Morzewski, Wolski, Górski. Przez dłuższy czas należał tu p. Stanisław Dąbrowski, artysta młody i zdolny, dusza tutejszego zespołu, który powrócił do Krakowa, przez krótki czas brali udział pp. Feldman i Zawadzka.

W ten sposób młodzi artyści mają pole pracy, publiczność godną rozrywkę, a Gospoda Legionistów skromne zasiłki. Historii duchowego życia wychodźstwa przybyła piękna karta.

Wiedeń, w listopadzie 1915.

J. G.

B. JANUSZ. 293 dni rządów rosyjskich we Lwowie (3. IX. 1914 — 22. VI. 1915). Lwów 1915, Nakł. Księgarni Polskiej. 8° str. 262.

W czasie 9-cio-miesięcznego pobytu Moskali przeobrazili się nieco charakter Lwowa, zrodził się hart niezwykle, nie tylko sfer zarządzających, ale niemniej i ogółu mieszkańców, godnie i poważnie przyjmujących zgoda nie pożądanym gości, zobowiązując najeźdźców swym zachowaniem się do spokojnych i dających rękojmię bezpieczeństwa rządów, do absolutnego zniesienia wszelkich nadużyć ze strony wojska i snujących się w pogoni za łupem indywiduów. A o to przedewszystkiem chodziło zarządowi Lwowa pod przewodnictwem czcigodnego prezydenta T. Rutowskiego i dzięki niezapomnianym Jego zabiegom osiągnięto ów cel najdonioślejszy.

Niepodobna tutaj choćby potrącić nawet o najważniejsze zdarzenia, zaśle w ciągu 293 dni panowania wroga we Lwowie — dokładnie je charakteryzuje książka B. Janusza. Oddając należny szacunek zasłużonym dla dobra ogółu i utrzymania nienaruszenie honoru Polaków, bezwzględnie piętnuje poniżające zachowanie się niektórych grup politycznych i ich organów, szerzących — na szczęście bez efektu — przy walnej rubla pomocy, oryentację moskalofilską w znękanem społeczeństwie. Wogóle nie pomija autor ani sympatycznych przejawów życia obywatelskiego — ani plam ciemnych, które u wroga nawet budziły pogardę i obrzydzenie.

Książka powyższa właściwie „to nie historia sama“ — czytamy w przedmowie — „ale historia w części swej znacznej; co historyk kiedyś powie na temat pracy tej oto, będzie z pewnością gruntowniejsze i dokładniejsze, ale przy wszystkim zawierać będzie i to, co w niej już miejsce znalazło... Za sumienną kronikę trzeba też ją uważać, pisaną wszakże barwnie i gładko „po literacku“. Niechajże się znajdzie w ręku każdego interesującego się losem Lwiewo grodu, niech się jak najszybszy ogół dowie prawdy o inwazyi rosyjskiej we Lwowie, boć przecie czas już przestać wierzyć bajkom rozmaitym, wciąż na nowo w kurs puszczanym, właśnie przez tych, których stanowczy odwrót Moskale zaskoczył niespodziewanie i niemile...

W. A.

KONKURS NA PROJEKTY NAGROBKÓW.

Setki tysięcy świeżych mogił, któremi zaślana polska ziemia, czekają na nagrobki. Obok utrwalenia mogił i uczczenia pamięci poległych, staje się to nagłe wskutek wojny zapotrzebowanie ogromnej ilości nagrobków pierwszorzędem zagadnieniem całej gałęzi sztuki i przemysłu, która nie stoi u nas zbyt wysoko, a wobec konieczności liczenia się więcej niż kiedykolwiek ze środkami i materiałem i wobec wielkiej rozmaitości miejsca mogił w pejzażu naszego kraju, nastrocza tem większe trudności.

Nie można dopuścić, aby na polskiej ziemi z okazji wojny rozpanoszył się masowy objaw szablonu i złego gustu. Byłoby bolesną krzywdą, gdyby tę gałąź produkcji zagarnął obcy przemysł, wnosząc obcego ducha. A niebezpieczeństwo

i jednego i drugiego istnieje. Jest naszym prawem, a zarazem naszym obowiązkiem, żołnierzy poległych na naszej ziemi uczcić własnymi siłami i własną sztuką. Nasi rzemieślnicy, z krajowych materiałów, podług wzorów polskich artystów, powinni zbudować to wielkie cmentarzysko w Polsce. Niech na nim zakwitnie praca polskich rąk i polskiego ducha.

W tej myśli Towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana” przy poparciu finansowem Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie ogłasza konkurs na nagrobki, stawiając następujące zadania:

- 1) Nagrobek dla pojedynczego żołnierza.
- 2) Nagrobek dla większej ilości poległych, pochowanych we wspólnej mogile.
- 3) Ujęcie w uporządkowaną całość już istniejących cmentarzyków wojennych. Ma się tu na myśli wykonane przez wojskowość szematyczne grupy z kilkudziesięciu lub więcej grobów się składające, które należy ująć ogrodzeniem, roślinnością, lub w inny właściwy sposób upamiętnić.

Warunki konkursu:

1) Projekty mają być skromne, z materiału dowolnego, w dowolnie obranym pejzażu (na równinie, w lesie, w górach, nad rzeką itd.) z uwzględnieniem otoczenia roślinnego.

2) Wymagane są następujące rysunki, wykonane ze względu na ułatwienie reprodukcji techniką kreskową:

Dla zadań 1 i 2: rzut poziomy i widoki w skali 1:10; o ile zajdzie potrzeba, przekrój w tejże skali, oraz szczegół charakterystyczny w skali większej.

Dla zadania 3: sytuacja ogólna w skali 1:100, rzuty i widoki szczegółów, a w razie potrzeby przekrój w skali 1:10. Nadto dla wszystkich zadań: widok perspektywiczny i techniczny opis projektu.

3) Termin nadsyłania prac 2. stycznia 1916 r. do godz. 12. w południe pod adresem: Towarzystwo „Polska sztuka stosowana” w gmachu Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie (ul. Smoleńsk 9).

4) Dla prac zamiejscowych obowiązuje ten sam termin oddania pracy na pocztę, co należy udowodnić kwitem pocztowym.

5) Prace należy nadsyłać w tekach opatrzonych napisem: Projekt nagrobka na konkurs Towarzystwa „Polska sztuka stosowana” i mieszczących wewnątrz zapieczętowaną kopertę z nazwiskiem i adresem autora.

6) Prac nie należy opatrzyć godłem. Przy odbieraniu nadesłanej pracy otrzyma każda teka numer porządkowy, którym oznaczy się pokwitowanie, oraz wszystkie tablice i kopertę z nazwiskiem autora. Ten numer porządkowy służyć będzie za godło pracy. Autorowie winni na opakowaniu podać adres, pod którym Towarzystwo zawiadomi ich o odebraniu projektu i liczbie, jaką go oznaczono.

6) Wyznacza się 6 nagród, a mianowicie:

Za projekt nagrobka pojedynczego: I. nagr. 200 kor., II. nagr. 100 kor.

Za projekt nagrobka na wspólnej mogile: I. nagr. 200 kor., II. nagr. 100 kor.

Za projekt ujęcia w całość cmentarzyka: I. nagr. 200 kor., II. nagr. 100 kor.

Nagrody te będą bezwarunkowo wypłacone. Nadto mogą być inne prace wyróżnione. Prace wyróżnione mogą być zakupione w cenie po 50 koron.

8) Projekty nagrodzone i zakupione stają się własnością instytucji ogłaszających konkurs.

9) Rozstrzygnięcie nastąpi najpóźniej w dwa tygodnie po upływie terminu konkursu, poczem wszystkie prace będą wystawione conajmniej przez 8 dni.

10) Sąd konkursowy stanowią pp.: Jan Bukowski, Józef Czajkowski, Józef Gałęzowski, Wacław Krzyżanowski,

Franciszek Mączyński, Józef Mehoffer, Ludwik Puszet, Stanisław Till i Jerzy Warchałowski.

11) Warunki konkursu otrzymać można w kancelaryi Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie (ulica Smoleńsk 9).

K r a k ó w, dnia 5. listopada 1915.

Z TEATRU MIEJSKIEGO.

„Marnotrawny ojciec” jest tą właśnie ze sztuk Shaw’a, z którą najtrudniej się oswoić. Z pozoru bufonada ta przeobraża fotel dentystyczny i zastawę hotelową z równą lekomyślnością, jak charaktery i idee, spala niesamowitym kunsztem pyrotechniki logicznej kilkanaście fajerwerków ideowych po to, aby strzeliły z hałasem w górę i opadły w deszczu aforyzmów, pastwi się nad wszystkimi bez wyjątku osobistościami rodziny Crampton et Co., a co dostojniejszym przyprawia nadto na pożegnanie fauniczne zarosty i sylenowe nosy, aby maskaradowym cake-walk’em pojednania zamknąć przydługie filozoficzno-prawne dyskusje o małżeństwie, emancypacji, wyrzucaniu zębów, gazie rozwesalającym i niektórych jeszcze kwestiach innych.

Ale w istocie nie jestże to co więcej, jak arlekinada? „Nie można nigdy przewidzieć”, ostrzega Shaw swego krytyka i spieszy mu z doraźną pomocą we wstępie do zbioru „Sztuk pociesznych”, gdzie przed laty dwudziestu, między deminutywną komedią o „bohaterach” a prerafaelistycznym portretem Candidy ukazała się ta sztuka pod tamtym właśnie tytułem („You never can tell.”) Seans autora z czytelnikiem dokonuje się więc na podstawie obopólnego porozumienia poza ramami dramatu; świadczy to nieszczególnie o jego fakturze, co do której zresztą Shaw nie miał nigdy szczególniejszych ambycji, miast świadomego wysiłku kompozycyjnego posiłkując się, gdzie się dało, glossowaniem chwil w scenariuszu, nowelistycznym aforyzmem w dopisku, komentarzem w prolegomenach i paralipomenach. Z wyjaśnień tych okazuje się, że autor i w tem rozbawieniu pozostaje tymczasem socjalnym korektorem o najczujniejszym zmysłem społecznym, fabiańczykiem i rewizjonistą, nie tylko pływakiem przeciw wodzie, ale reformatorem dojrziałym, znaczy się: burzącym nie gwoździ kwasno-melancholijnej passji tłuczenia starych tablic, lecz po to, aby budować — słowem pisarzem, któremu skeptyczno-impresjonistyczny nihilizm, ideowo bezkręgowy, więc do niczego nieobowiązujący oskar-wildyzm lordowskiego czy mieszczańskiego pokroju, jest tak właśnie obcy i nienawistny, jak ta czereda analfabetów fejetonowych, która na obraz i smutne podobieństwo własne pragnie od lat całych narzucić mu sylwetę irlandzkiego barbarzyńcy, zawodzącego wółprzymiotny taniec anarchicznego relatywizmu w natłoku kilkudziesięciuizmów, zbiegłych z zaułków wszelakich kultur, sztuk i filozofii. Nieporozumienie to trwa zbyt dawno i domaga się wyjaśnień.

Powstało na kontynencie dwu Shaw’ów — skarży się Julius Bab, nieznudzony ambasador shaw’izmu w granicach mocarstw centralnych; pierwszego znają politycy: szanują, jako jednego z najinteligentniejszych socjalistów doby obecnej, albo sztydzą z niego, jako burżujskiego ugodowca, lub wzdygają się, jak przed niebezpiecznie pochlebny przewrotowcem — zależnie, czy są socjalistycznymi rewizjonistami albo ortodoksyjnymi marxistami lub konserwatystami. Ale drugiego stworzyli sobie literaci: cześć w nim zachwycającego impresjonistę albo gardzą zuchwałym błaznem lub tępią szkodliwego nihilistę — zależnie, czy są sensualistami albo filistrami lub nowokantystami. Zgadza się jednak pierwsi w tem, że jest ten Shaw niezwykle aktywnym socjalistycznym praktykiem; drudzy, że jest ten Shaw skeptyczne zrezygnowanym indywidualistą, głosicielem abso-

lutnego, czyn wszelki mordującego relatywizmu, w najlepszym razie zdolnym do porodzenia idei tak wyniosłych, jak krucyata przeciw twardym kołnierzykom, wiwisekcy i przymusowi szczepienia lub eugeniczna hodowla nadczłowieka drogą skrzyżowania filozofa z córką pięknego atlety. Słowem, jeden jest prawie Tyberyuszem Grakchem, drugi ledwo Piotrem Altenbergem.

Dwoistość ta dłużej utrzymać się nie da; zgodzić ją trzeba w fenomen jednolity czyli przywrócić jednoznaczność koncepcję tego pisarza. Niepodobna tu wchodzić w nazbyt różnolite szczegóły tej sprawy; wystarczy stwierdzić, że nie masz nic bardziej obcego Shaw'owi, jak indyferentyzm moralny czy jakikolwiek inny. Rygorystyczny, głęboko etyczny, skrót protestancki zmysł rzeczywistości leży u dna wskazanego dualizmu. W tem świetle wszystko, co w jego komedii ludzi pozorem arlekinady, okaże się dalekiem, wtórnem przesunięciem, którego drogi odgadnąć winien w każdym poszczególnym, nieraz zawilim wypadku reżyser i krytyk. Zrozumiem on wtedy, że osławiona paradoksalność „pomniejszyciela bohaterów, antytetycznego myśliciela i deminutora wzniosłości“ jest niczem innym, jak jego antyromantycznym pragmatyzmem, uwielbieniem siły życia i poczuciem faktyczności, więc zdolnością, by w każdej chwili z tej właśnie jedynej treści życiowej, niepowtórzonej drugi raz sytuacji wydobyć jej prawo swoiste i nie dać się przytem osłepić ogólnikowej, więc wygodnej konwencji moralnej czy filozoficznej. A ponad wszystkim czuwa uporczywie przy ideale stojące oburzenie społeczne i twarde orzeczenie: „ekonomia społeczna jest matką cnót wszelkich“, w którym niepospolity ten człowiek szuka głębokiego, wzajemnego powiązania zmysłowej wrażliwości estetycznej i etycznego hartu, skepsis i wiary, ironii i siły czynu, fatalizmu i radosnej woli. Pozwalam sobie zauważyć, że historyzm i filozofia pracy, którą za dni swych ostatnich głosił Stanisław Brzozowski, jest syntezą zbliżką pokrewną tak pojętemu shaw'izmowi. Zestawienie tych nazwisk, może niespodziewane, dowodzi, że daleko jesteśmy zarówno od dynamitard sceptyków w rodzaju Wieda, Courtelina lub Wedekinda, jak zwłaszcza od pasożytniczego gentlemanstwa i hedonistycznego estetyzmu drugiego głośnego Irlandczyka naszej doby, Oscara Wilde'a.

W awanturniczych przygodach rodziny Crampton-Clandon, z pod pieniącej się napozór beztroskliwie igraszki wypada raz po raz mordercze ostrze satyry, mierzące w samo serce martwych doktryn, niezwiązanych z życiem cudacznych abstrakcyi, rozlatujących się, jak plewa, za pierwszym wichrem natury: jest to hymn na cześć irracjonalnych potęg życia, wyśpiewany w postaciach dzieci pani Clandon: parze ośmnastolatków Filipa i Dolly, nadewszystko Glorii, która cała ulepiona, zdawało się, z teorii matczynych, za pierwszym podszeptem wzgardzonych instynktów popada w bezradną rozterkę pojęć na przekór cierpkemu intelektualizmowi, zeszcłej teorii, zadufanemu, a w końcu na głowę pobitemu racjonalizmowi autorki „Praw kobiety XX. stulecia“. W łobuzerski sposób wyłożony schopenhauerowski czy

pragmatystyczny supremat woli nad intelektem: bo nigdy jeszcze logiczny przymus nie zbłąkał chcącego człowieka, ale nie masz życzenia, któreby na zawołanie nie znalazło pełni logicznych usprawiedliwień. Nie starezy czasu wyjaśniać technikę komedyczną, dzięki której przemysła Shaw pod flagą wesołości tę świetną kontrabandę myślową, ani wykazywać na wszystkich figurach tej komedii wcieleń i następstw tego woluntarystycznego światopoglądu. Chcę jeszcze wskazać tylko na ten nieruchomy bieg, trwający niewzruszenie w kalejdoskopowym wirze niespokojnej akcji: sokratyczną mądrość kelnera Williama, która jest apologią pozy, jako nieuniknionej formy życia, byleby aktorstwo to było nie romantycznym przeciwstawieniem się rzeczywistości, ale świadomym wyżyciem do końca własnej treści w warunkach pozytywnie przyjętych tak, jak je narzuciła rzeczywistość.

Postacie Shaw'a odsłaniają się powoli; przy pierwszym spotkaniu czyli w akcie pierwszym bywają całkiem inne, niż po zawarciu bliższej znajomości, bez toalety, przed zapadnięciem kurtyny. Stąd dla aktora pokusa, aby z tej proteuszowej przemienności, która w istocie poparta jest twarzą konsekwencyą, uczynić łatwy pretekst dla niespodzianek, znów „paradoksalnych“ czyli pozwalających na niczem nieusprawiedliwioną swywołę charakterystyki, gestu czy dykcji. Polscy aktorzy robią z tej swobody często niedozwolony użytek: nazywa się wówczas te improwizacje del'arte stylem błyskotliwym, groteskowym, pełnym nonszalaney. Dzisiejsze, literacko doskonale uświadomione kierownictwo ustrzegło zespół przed tą pomyłką. Choć pion całości odchyłał się świadomie i słusznie w stronę krotoczwili, pp. Słubicka, Jednowski i Bończa byli w miarę charakterystyczni; pp. Kamińska i Stanisławski okazali dużą sprawność dyalektyczną i przytomność w dopełnianiu gestem czy spojrzeniem olbrzymich elips w swoich utarczkach miłosnych. Oczywiście trudno żądać tego kunsztu, który jest zdobyczą długotrwałego oswajania się z swoistą cechą konwersacji Shaw'a, od dorastającej debutantki; mimo to panna Dygatówna nad podziw swobodnie ratowała się w sytuacjach, których sens przeczuwa dziś ledwo z daleka.

Autorem świetnego przekładu, chwytającego bez reszty wszystkie obroty i polyski oryginału, jest pan Konczyński.
Tadeusz Świątek.

SPROSTOWANIE.

W epitafium dr Adolfa Sternschussa w nr. 15. „Il. Tyg. Polskiego“ wydrukowano błędnie „szeregowiec IV. pułku“ — zamiast „I. pułku“.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu M. S. w Zak. Niestety, rzecz jest dla nas za długa.
Autorowi poematu „Orleń“.

Usłyszawszy pobudkę wojennych puzonów
Folblut z Olimpu — Pegaz — uciekł do Legionów
Więc spieszony wierszopis, kiedy go uniosła
Żądza sławy, dosiada... skrzydlatego osła.

